

JOANNE K. ROWLING

Harry Potter

i KAMIENÍ FILOZOFICZNY



Ilustracje

MARY GRANDPRÉ

Tłumaczył

ANDRZEJ POLKOWSKI

MEDIA RODZINA

* I *

Harry Potter, sierota i podrzutek, od niemowlęcia wychowywany był przez ciotkę i wuja, którzy – podobnie jak ich rozpieszczony syn Dudley – traktowali go jak piąte koło u wozu. Pochodzenie chłopca owiane jest tajemnicą; jedyna pamiątka z przeszłości to zagadkowa blizna na jego czole. Ponadto, ku jego utrapieniu, wciąż przydarza mu się coś niesamowitego. Pewnego dnia chłopiec dowiaduje się, że został przyjęty do Hogwartu – szkoły czarodziejów...



Peron numer dziewięć i trzy czwarte

Ostatni miesiąc u Dursleyów był dość ponury. Dudley tak się bał Harry'ego, że za nic w świecie nie chciał z nim przebywać w jednym pokoju. Ciotka Petunia i wuj Vernon nie zamykali go już w komórce pod schodami, nie zmuszali do niczego i nie wrzeszczeli na niego od rana do wieczora — prawdę mówiąc, w ogóle się do niego nie odzywali. Przerażeni i wściekli, traktowali go jak niewidzialnego. Tak więc pod wieloma względami niby było lepiej, ale po jakimś czasie zaczęło go to trochę męczyć.

Harry przesiadywał więc w swoim pokoju w towarzystwie śnieżnej sowy. Nazwał ją Hedwigą; imię to znalazł w *Historii magii*. Nowe podręczniki okazały się bardzo interesujące. Czytał je w łóżku do późnej nocy, a Hedwiga wlatywała i wylatywała przez otwarte okno, kiedy jej się podobało. Na szczęście ciotka Petunia nie przychodziła już, aby odkurzyć pokój, bo Hedwiga ciągle zносиła martwe myszy. Co wieczór, przed zaśnięciem, Harry odhaczał

kolejny dzień na kartce papieru, którą przybił do ściany, odliczając dni do pierwszego września.

W ostatni dzień sierpnia uznał, że warto porozmawiać z ciotką i wujem na temat sposobu dotarcia na dworzec King's Cross, więc zszedł wieczorem do salonu, gdzie wszyscy siedzieli, oglądając jakiś teleturniej. Harry odchrząknął, na co Dudley wrzasnął i uciekł z pokoju.

— Ee... wuju Vernonie...

Wuj Vernon też chrząknął na znak, że słyszy.

— Ee... muszę być jutro na dworcu King's Cross... jadę do Hogwartu.

Wuj Vernon odchrząknął ponownie.

— Czy wuj mógłby mnie tam podwieźć?

Chrząknięcie. Harry uznał je za wyrażenie zgody.

— Dziękuję.

Już miał wrócić do swojego pokoju na piętrze, kiedy wuj Vernon jednak przemówił.

— To dość dziwne, żeby do szkoły dla czarodziejów jechać pociągiem. Wszystkie latające dywany złapały kichę?

Harry milczał.

— A w ogóle, gdzie jest ta cała szkoła?

— Nie wiem — odpowiedział Harry, po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę. Wyjął z kieszeni bilet, który dał mu Hagrid.

— Muszę wsiąść do pociągu, który odchodzi o jedenastej z peronu numer dziewięć i trzy czwarte — przeczytał.

Ciotka i wuj wytrzeszczyli na niego oczy.

— Z którego peronu?

— Dziewięć i trzy czwarte.

— Nie opowiadaj bzdur — rzekł wuj Vernon. — Nie ma takiego peronu.

— Tak jest napisane na bilecie.

— Będą szczebrać — powiedział wuj Vernon. — Będą wyc jak wariaci. Zobaczysz. Ostrzegałem cię. No dobrze, podwieziemy cię na King's Cross. Tak się składa, że wybieramy się jutro do Londynu, bo inaczej nie zaprzętałbym sobie głowy takimi wariactwami.

— Po co się wybieracie do Londynu? — zapytał Harry, starając się być uprzejmy.

— Zawozimy Dudleya do szpitala — warknął wuj Vernon. — Muszą mu odciąć ten okropny ogon, zanim pójdzie do Smeltinga.

Nazajutrz Harry obudził się o piątej rano i był tak podniecony, że już nie mógł zasnąć. Wstał i wciągnął dzinsy, bo nie chciał paradować po dworcu w szacie czarodzieja; przebierze się w pociągu. Po raz kolejny sprawdził z listą, czy ma wszystko, co powinien mieć, upewnił się, że Hedwiga jest zamknięta w klatce, a potem zaczął krążyć po pokoju, czekając, aż Dursleyowie wstaną. Dwie godziny później wielki kufer Harry'ego załadowano do bagażnika, ciotka Petunia zdołała namówić Dudleya, by usiadł z tyłu obok Harry'ego i ruszyli.

Przed dworzec na King's Cross zajechali o dziesiątej trzydzieści. Wuj Vernon wtaszczył kufer Harry'ego na wózek bagażowy, który sam pociągnął aż na perony. Harry pomyślał, że to niespotykana uprzejmość z jego strony, ale wkrótce wszystko się wyjaśniło, kiedy wuj Vernon zatrzymał się ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

— No więc jesteśmy na miejscu, chłopcze. Peron dziewiąty, peron dziesiąty. Twój peron powinien być gdzieś pomiędzy nimi, ale chyba go jeszcze nie zbudowali, co?

Oczywiście miał rację. Nad jednym peronem wisiała duża plastikowa tabliczka z numerem dziewięć, na drugim

taka sama tabliczka z numerem dziesięć, natomiast pomiędzy nimi była żelazna barierka.

— Życzę pomyślnego semestru — rzekł wuj Vernon z jeszcze bardziej jadowitym uśmiechem i odszedł bez pożegnania. Harry odwrócił się i zobaczył, że Dursleyowie odjeżdżają. Wszyscy troje pękali ze śmiechu. Harry'emu zaschło w ustach. Co teraz? Ludzie zaczęli mu się dziwnie przyglądać, na pewno z powodu Hedwigi. Będzie musiał kogoś zapytać.

Zatrzymał przechodzącego strażnika, ale nie śmiał go zapytać o peron numer dziewięć i trzy czwarte. Strażnik nigdy nie słyszał o miejscowości Hogwarts, a kiedy Harry nie potrafił mu nawet powiedzieć, w jakiej to jest części kraju, zrobił się opryskliwy, jakby uznał, że Harry robi sobie z niego żarty. Zrozpaczony Harry zapytał go o pociąg, który odjeżdża o jedenastej, ale strażnik stwierdził, że takiego nie ma i odszedł, mrużąc coś o takich, co marnują jego cenny czas. Harry starał się nie wpaść w panikę. Według wielkiego zegara nad tablicą przyjazdów miał dziesięć minut do odjazdu pociągu, ale wciąż nie wiedział, jak ów pociąg znaleźć; po prostu ugrzązł na dworcu z kufrem, który ledwo mógł unieść, z kieszenią pełną pieniędzy czarodziejów i z wielką sową.

Hagrid musiał zapomnieć powiedzieć mu o czymś. Na pewno chodzi o coś takiego, jak to stukanie w trzecią cegłę na lewo, żeby się dostać na ulicę Pokątną. Zastanawiał się gorączkowo, czy nie powinien wyjąć różdżki i zastukać nią w budkę kontrolera biletów między peronami dziewiątym i dziesiątym.

W tym momencie minęła go grupa ludzi i usłyszał strzęp rozmowy.

— ...oczywiście aż się roi od Mugoli...

Harry obrócił się błyskawicznie. Te słowa wypowiedziała jakaś pulchna kobieta, której towarzyszyło czterech chłopców. Wszyscy mieli płomiennie rude włosy i każdy pchał przed sobą kufer bardzo podobny do tego, który stał przed Harrym. I mieli *sowę*.

Harry'emu serce zabiło mocniej i zaczął pchać swój wózek za nimi. Zatrzymali się, więc i on zrobił to samo, na tyle blisko, by słyszeć, o czym rozmawiają.

— Który to miał być peron? — zapytała chłopców matka.

— Dziewięć i trzy czwarte! — pisnęła mała dziewczynka, również ruda jak wiewiórka, trzymająca ją za rękę. — Mamo, czy ja bym nie mogła...

— Jesteś jeszcze za mała, Ginny, przestań marudzić. No dobrze, Percy, idziesz pierwszy.

Wyglądający na najstarszego chłopiec pomaszerował ku peronom dziewiątemu i dziesiątemu. Harry uważnie go obserwował, tym razem starając się ani razu nie mrugnąć powiekami, lecz kiedy chłopiec doszedł do barierki między dwoma peronami, pojawiła się przed nim duża grupa turystów z wysokimi plecakami, a kiedy przeszła, już go nie było.

— Fred, teraz ty — powiedziała pulchna kobieta.

— Nie jestem Fred, jestem George — odrzekł chłopiec. — Naprawdę, kobieto, i ty uważasz się za naszą matkę? Nie wiesz, jak się nazywa twoje dziecko?

— Przepraszam, George.

— To był żart, jestem Fred — powiedział chłopiec i odszedł. Jego brat-bliźniak zawołał za nim, żeby się spieszył, co też chyba uczynił, bo sekundę później już go nie było — ale jak on to zrobił?

Teraz trzeci z braci ruszył żwawo ku barierce — już tam prawie był — i nagle... po prostu zniknął.

Harry uznał, że tylko jedno mu pozostało.

— Przepraszam — zwrócił się do pulchnej kobiety.

— Dzień dobry, kochanie — odpowiedziała. — Pierwszy raz do Hogwartu? Ron też jest nowy — wskazała na najmłodszego ze swoich synów. Był to wysoki, przeraźliwie chudy chłopiec z wielkimi, piegowatymi rękami i długim nosem.

— Tak — przyznał Harry. — Rzecz w tym... rzecz w tym, że nie wiem, jak...

— Jak dostać się na peron? — podpowiedziała uprzejmie, a Harry skinął głową.

— Nie martw się. Musisz tylko iść prosto na tę barierkę między peronami dziewięć i dziesięć. Nie zatrzymuj się i nie bój się, że na nią wpadniesz, to bardzo ważne. Jak ktoś jest trochę nerwowy, najlepiej pobiec prosto na barierkę. No, dalej, idź przed Ronem.

— Ee... rozumiem — bąknął Harry.

Ustawił wózek przed sobą i popatrzył na barierkę. Wyglądała bardzo solidnie.

Zaczął ku niej iść. Ludzie, którzy szli na peron dziewiąty lub dziesiąty potracali go i popychali. Harry przyspieszył. Szedł prosto na barierkę — był pewien, że wózek się o nią rozbije — pochylił się nad nim i zaczął biec — barierka była coraz bliżej — wiedział, że już nie będzie w stanie się zatrzymać — stracił kontrolę nad wózkiem — jeszcze kawałek — zamknął oczy, spodziewając się straszliwego wstrząsu i łoskotu...

Nic takiego się nie wydarzyło... biegł dalej... otworzył oczy.

Przy peronie stał czerwony parowóz, a za nim wagony pełne ludzi. Na tabliczce widniał napis: *Pociąg ekspresowy do Hogwart, godzina jedenasta*. Harry spojrzął za siebie i tam,

gdzie była barierka, zobaczył łuk z kutego żelaza z napisem:
Peron numer dziewięć i trzy czwarte.

A więc udało się.

Kłęby dymu z parowozu przepływały nad głowami ludzi, a pomiędzy ich nogami kręciło się mnóstwo kotów różnej maści. Przez zgiełek podnieconych głosów i zgrzyt ciężkich kufrów przebijało się od czasu do czasu pohukiwanie sów.

W pierwszych paru wagonach było już pełno uczniów. Niektórzy wychylali się przez okna, by porozmawiać ze swoimi rodzinami, inni walczyli o miejsca siedzące. Harry pchał swój wózek wzdłuż pociągu, rozglądając się za wolnym miejscem. Minął jakiegoś pyzatego chłopca, który mówił:

— Babciu, znowu mi zginęła ropucha.

— Och, Neville... — westchnęła starsza kobieta.

Niewielki tłumek otaczał jakiegoś chłopca z dreadami.

— Lee, nie bądź taki, daj popatrzeć!

Chłopiec uniósł pokrywkę pudła, które trzymał w ramionach, a wszyscy wrzasnęli i odskoczyli, kiedy z pudła wystrzeliła długa, owłosiona noga.

Harry przeciskał się przez tłum, aż w końcu znalazł pusty przedział przy końcu pociągu. Najpierw wstawił klatkę z Hedwigą, a potem zaczął ciągnąć swój kufer ku drzwiom przedziału. Próbował wtaszczyć go na stopień, ale ledwo mu się udało unieść jeden koniec. Kufer dwukrotnie spadł mu na stopę.

— Pomóc ci? — Był to jeden z owych rudzielców, za którymi przeszedł przez barierkę.

— Oj, tak, proszę — wydyszał Harry.

— Hej, Fred! Chodź tu i pomóż!

Przy pomocy bliźniaków kufer w końcu wylądował w kącie przedziału.

— Dzięki — powiedział Harry, odgarniając z czoła spocone włosy.

— Co to jest? — rzekł nagle jeden z bliźniaków, wskazując na czoło Harry'ego.

— A niech to! — zawołał drugi. — Czy ty jesteś...

— To on — powiedział pierwszy. — Jesteś nim, prawda? — zapytał Harry'ego.

— Kim? — zapytał Harry.

— *Harrym Potterem* — powiedzieli chórem bliźniacy.

— Ach, nim — powiedział Harry. — To znaczy... tak, to ja.

Obaj chłopcy wybałuszyli na niego oczy, a Harry poczuł, że się czerwieni. A potem, ku jego uldze, przez otwarte drzwi usłyszeli głos:

— Fred! George! Jesteście tam?

— Idziemy, mamo.

Rzucili ostatnie spojrzenie na Harry'ego i wyskoczyli z wagonu.

Harry usiadł przy oknie, skąd mógł obserwować stojące na peronie rodzeństwo rudzielców i podsłuchać, o czym mówią. Ich matka właśnie wyjęła chusteczkę.

— Ron, masz coś na nosie.

Najmłodszy próbował czmychnąć, ale matka złapała go i zaczęła mu pocierać nos chusteczką.

— *Mamo...* daj mi spokój. — Wyrwał się jej.

— Ajajaj, mały Ronuś znowu pobrudził sobie nosek?

— zakpił jeden z bliźniaków.

— Zamknij się — powiedział Ron.

— Gdzie jest Percy? — zapytała matka.

— Właśnie idzie.

Pojawił się najstarszy z chłopców. Zdążył już się przebrać

w obfite szaty uczniów z Hogwartu i Harry dostrzegł na jego piersi srebrną naszywkę z literą P.

— Mamo, nie mogę dłużej zostać — powiedział. — Siedzę z przodu, prefekci mają zarezerwowane dwa przedziały...

— Och, jesteś *prefektem*, Percy? — zdziwił się jeden z bliźniaków. — Dlaczego nam nie powiedziałeś? Nie mieliśmy pojęcia.

— Daj spokój, przecież pamiętam, że coś o tym wspominał — powiedział drugi bliźniak. — Raz...

— Albo dwa...

— Chwilę temu...

— Przez całe lato...

— Och, zamknijcie się — rzekł Percy Prefekt.

— A jak to się stało, że Percy ma nową szatę? — zapytał jeden z bliźniaków.

— Bo jest *prefektem* — odpowiedziała ich matka pieszczotliwym tonem. — No już dobrze, kochanie... żeby ci się powiodło w tym semestrze... I wyślij mi sowę, jak już tam będziesz.

Pocałowała Percy'ego w policzek, a on odszedł.

— A teraz wy dwaj... w tym roku macie mi się zachowywać przyzwoicie. Jak dostanę choćby jedną sowę z wiadomością, że... wysadziliście w powietrze toaletę albo...

— Toaletę w powietrze? Nigdy nie wysadziliśmy żadnej toalety.

— Ale to wspaniały pomysł. Dzięki, mamo.

— To *nie jest śmieszne*. I opiekujcie się Ronem.

— Nie martw się, malutki Ronus jest z nami całkowicie bezpieczny.

— Zamknijcie się — powtórzył Ron. Był już prawie

tak wysoki, jak bliźniacy. Nos miał czerwony w miejscu, gdzie matka wycierała go chustką.

— Hej, mammo, zgadnij! Zgadnij, kogo właśnie spotka-
liśmy w pociągu?

Harry cofnął się szybko od okna, żeby nie zauważyli, że
ich obserwuje.

— Pamiętasz tego czarnowłosego chłopca, który stał
koło nas na stacji? Wiesz, kto to jest?

— Kto?

— Harry Potter!

Harry usłyszał głos dziewczynki.

— Och, mammo, mogę wejść do pociągu i go zobaczyć?

Mammo, proszę...

— Już go widziałas, Ginny, a ten chłopiec nie jest ja-
kimś okazem w zoo. To naprawdę on, Fred? Skąd wiesz?

— Zapytałem go. Widziałem bliźnię. Naprawdę ją
ma... jest jak błyskawica.

— Biedactwo... nic dziwnego, że przyszedł sam. Taki
był grzeczny, kiedy mnie pytał, jak dostać się na peron.

— No dobra, ale czy myślisz, że on pamięta, jak wyglą-
da Sam—Wiesz—Kto?

Ich matka nagle spowaźniała.

— Zabraniam ci go o to pytać, Fred. Żebyś mi się nie
ośmielił. To wcale nie jest przyjemne, przypominać sobie
o takich rzeczach w pierwszym dniu szkoły.

— No już dobrze mammo, nie denerwuj się.

Rozległ się gwizdek.

— Szybko! — zawołała matka i trzech chłopcy wsiedli
do wagonu. Wychylili się przez okno, nadstawiając policzki
do pocałowania, a dziewczynka zaczęła płakać.

— Nie płacz, Ginny, wyślemy ci mnóstwo sów.

— Przyślemy ci sedes z Hogwartu.

— George!

— Tylko żartuję, mamo.

Pociąg ruszył. Harry patrzył na matkę chłopców, machającą ręką na pożegnanie, i na ich siostrę, na pół roześmianą, na pół zapłakaną, która biegła kawałek za pociągiem, a po chwili, kiedy przyspieszył, została w tyle i też wymachiwała rączką.

Pociąg zakręcił i obie — matka i dziewczynka — znikły. Za oknami zaczęły się przesuwać domy. Harry poczuł, że ogarnia go wielkie podniecenie. Nie wiedział, ku czemu zmierza, ale wierzył, że będzie to o wiele lepsze od tego, co zostawiał za sobą.

Drzwi przedziału rozsunęły się i wszedł najmłodszy z chłopców.

— Ktoś tu siedzi? — zapytał, wskazując miejsce naprzeciw Harry'ego. — Wszędzie jest pełno.

Harry potrząsnął głową i chłopiec usiadł. Zerknął na Harry'ego, a potem szybko popatrzył w okno, udając, że mu się nie przyglądał. Na nosie wciąż miał coś czarnego.

— Hej, Ron!

Wrócili bliźniacy.

— Słuchaj, idziemy do przodu... Lee Jordan ma olbrzymią tarantulę.

— Dobra — mruknął Ron.

— Harry, czy my się przedstawiliśmy? — zapytał drugi bliźniak. — Fred i George Weasleyowie. A to jest Ron, nasz brat. No to do zobaczenia.

— Na razie — odpowiedzieli Harry i Ron.

Bliźniacy wyszli, zamykając za sobą drzwi.

— Naprawdę jesteś Harrym Potterem? — wypalił Ron.

Harry kiwnął głową.

— Och... wiesz, myślałem, że to może jeden z dowcipów Freda i George'a. I naprawdę... to... no wiesz...

Wskazał na czoło Harry'ego.

Harry odgarnął włosy, by pokazać mu jasną bliznę. Ron wytrzeszczył oczy.

— Więc to tu Sam–Wiesz–Kto...

— Tak — odpowiedział Harry. — Ale ja tego nie pamiętam.

— Nic?

— No... pamiętam mnóstwo zielonego światła, ale nic więcej.

— Uau. — Ron siedział i przez dłuższą chwilę gapił się na Harry'ego, a potem, jakby sobie zdał sprawę z tego, co robi, znowu szybko spojrzął w okno.

— Czy w waszej rodzinie wszyscy są czarodziejami? — zapytał Harry, dla którego ta znajomość była równie interesująca, jak dla Rona.

— Ee... tak, chyba tak. To znaczy... zdaje się, że mama ma jakiegoś dalszego kuzyna, który jest księgowym, ale nigdy o nim nie rozmawiamy.

Weasleyowie byli najwyraźniej jedną z tych starych czarodziejskich rodzin, o których mówił blady chłopiec na Ulicy Pokątnej.

— Słyszałem, że mieszkałeś u Mugoli — powiedział Ron. — Jacy oni są?

— Okropni... no, może nie wszyscy, ale moja ciotka i mój wuj są okropni. Chciałbym mieć trzech czarodziejskich braci.

— Pięciu — powiedział Ron. Z jakiegoś powodu zmarkotniał. — Ja jestem szósty, najmłodszy. Wszyscy poszli do Hogwartu. Można powiedzieć, że musiałem dużo znieść. Bill i Charlie już skończyli szkołę... Bill był prymu-

sem, a Charlie kapitanem quidditcha. Teraz Percy jest prefektem. Fred i George okropnie rozrabiają, ale mają dobre stopnie i wszyscy ich lubią. Wszyscy się spodziewają, że jestem tak dobry jak moi bracia, ale mnie to wisi, i tak nie będę pierwszy. Jak się ma pięciu braci, to nigdy się nie dostaje nowych rzeczy. Mam szaty po Billu, różdżkę Charliego i starego szczura Percy'ego.

Ron sięgnął do kieszeni i wyciągnął tłustego, szarego szczura, pogrążonego w głębokim śnie.

— Nazywa się Parszywek i niewiele z niego pożytku, bo rzadko się budzi. Percy dostał od ojca sowę za to, że został prefektem, ale rodziców nie stać... to znaczy, ja dostałem Parszywka.

Uszy mu poczerwieniały. Chyba uznał, że za dużo powiedział, bo znowu wpatrzył się w okno.

Harry wcale nie uważał, aby było coś złego w tym, że kogoś nie stać na sowę. Ostatecznie sam przez całe życie nie miał ani grosza. Powiedział to Ronowi, a także o noszeniu starych ubrań po Dudleyu, wspomniał też, że nigdy nie dostał prawdziwego prezentu na urodziny. Ron trochę się rozchmurzył.

— ...i dopóki Hagrid mi nie powiedział, w ogóle nie wiedziałem, że jestem czarodziejem, kim byli moi rodzice albo ten Voldemort...

Rona zatkało.

— Co jest? — zapytał Harry.

— *Wymówiłeś imię Sam-Wiesz-Kogo!* — powiedział Ron, trochę z przerażeniem, a trochę z podziwem. — Myślałem, że kto jak kto, ale ty...

— Nie staram się udowodnić, że jestem *dzielny*, czy coś w tym rodzaju, kiedy wymawiam to imię — powiedział Harry. — Ja po prostu nie wiedziałem, że nie powinno się

go wymawiać. Rozumiesz, o co mi chodzi? Muszę się tyle nauczyć... Założę się — dodał, po raz pierwszy wypowiadając na głos to, co ostatnio bardzo go martwiło — założę się, że będę najgorszy w klasie.

— Daj spokój. Mnóstwo ludzi przychodzi z rodzin Muggoli i szybko się uczą.

Podczas gdy rozmawiali, pociąg opuścił już przedmieścia Londynu. Teraz pędzili przez łąki pełne krów i owiec. Przez chwilę siedzieli cicho, obserwując przesuające się szybko pola i drogi.

Zbliżało się pół do pierwszej, kiedy na korytarzu rozległ się jakiś hałas, a po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta kobieta z dołeczkami w policzkach.

— Coś z wózka, kochaneczki? — zapytała.

Harry, który nie jadł śniadania, zerwał się na nogi, ale Ron znowu się zaczerwienił i wymamrotał, że ma swoje kanapki. Harry wyszedł na korytarz.

Mieszkając u Dursleyów, nigdy nie miał pieniędzy na słodycze, a teraz w kieszeniach brzęczały mu złote i srebrne monety, więc zamierzał kupić tyle marsów, ile zdoła unieść — ale na wózku nie było marsów. A co było? Fasolki Wszystkich Smaków Bertiego Butta, Najlepsze Balonówki Drooblego, Czekoladowe Żaby, Paszteciki z Dyni, Beczułki, Likworowe Pałeczki i wiele innych dziwnych rzeczy, które Harry zobaczył po raz pierwszy w życiu. Nie chcąc czegoś pominąć, kupił po trochu wszystkiego i zapłacił za to jedenaście srebrnych syklów i siedem brązowych knutów.

Ron wybałuszył oczy, kiedy Harry wniósł to wszystko i rzucił na wolne miejsce.

— Chyba jesteś bardzo głodny, co?

— Padam z głodu — odrzekł Harry, odgryzając kawałek pasztecika z dyni.

Ron wyjął zatłuszczoną paczuszkę i rozwinął ją. Były tam cztery kanapki. Wziął jedną i mruknął:

— Zawsze zapomina, że nie znoszę peklowanej wołowiny.

— Weź jednego. — Harry podsunął mu paszteciki. — No bierz...

— Trudno to mięso ugryźć, suche jak kość — powiedział Ron. — Wiesz, z taką piątką jak my matka nie ma za wiele czasu — dodał szybko.

— No dobra, bierz — powtórzył Harry, który jeszcze nigdy nikogo niczym nie częstował, bo nie miał ani czym, ani kogo. Bardzo to było przyjemne, siedzieć sobie z Ronem i pogryzać z nim te wszystkie zakupione przez siebie paszteciki, ciasteczka i cukierki (Ron natychmiast zapomniał o kanapkach).

— A to znasz? — zapytał Rona Harry, biorąc pudełko Czekoladowych Żab. — To chyba nie są *prawdziwe* żaby, co? — Teraz już nic nie mogło go zaskoczyć.

— Nie — odrzekł Ron. — Ale zobacz, jaka jest karta. Brakuje mi Agryppy.

— Czego?

— Ach... no jasne, przecież ty nie wiesz... W Czekoladowych Żabach są karty, no wiesz, do zbierania... ze słynnymi czarownicami i czarodziejami. Mam już z pięćset, ale wciąż brakuje mi Agryppy i Ptolemeusza.

Harry rozwinął swoją Czekoladową Żabę i wyjął kartę. Była na niej twarz mężczyzny. Miał okulary-połówki, długi, haczykowany nos, srebrną czuprynę, brodę i wąsy. Pod obrazkiem było jego imię i nazwisko: Albus Dumbledore.

— A więc *to* jest Dumbledore! — zawołał Harry.

— Tylko mi nie mów, że nie słyszałeś o starym Dumblu! Mogę wziąć żabę? Może trafi mi się Agryppa... Dzięki...

Harry spojrział na odwrotną stronę karty i przeczytał:

ALBUS DUMBLEDORE

OBECNY DYREKTOR HOGWARTU

Przez wielu uważany za największego czarodzieja współczesności, Dumbledore znany jest szczególnie ze zwycięstwa nad czarnoksiężnikiem Grindelwaldem (1945), z odkrycia dwunastu sposobów wykorzystania smoczej krwi i ze swoich dzieł alchemicznych, napisanych wspólnie z Nicolasem Flamelem. Profesor Dumbledore lubi muzykę kameralną i kręgle.

Harry znowu odwrócił kartę i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że twarz Dumbledore'a znikła.

— Nie ma go!

— A co, myślałeś, że będzie tam tkwił przez cały dzień?

— zażartował Ron. — Wróci. No nie, znowu trafiła mi się Morgana, mam już ich z sześć... Chcesz ją? Możesz zacząć zbierać.

Spojrzenie Rona powędrowało do stosu Czekoladowych Żab, czekających na rozwinięcie.

— Bierz — zachęcił go Harry. — Ale, wiesz... w świecie Mugoli ludzie nie znikają z fotografii.

— Naprawdę? W ogóle się nie ruszają? — W głosie Rona zabrzmiało szczere zdumienie. — Niesamowite!

Harry patrzył, jak Dumbledore wraca na swoje miejsce na karcie i zdawało mu się, że profesor lekko się do niego uśmiechnął. Ron był bardziej zainteresowany pochłanianiem żab niż przyglądaniem się portretom słynnych czarodziejek i czarodziejów, ale Harry nie mógł oderwać od nich

oczu. Wkrótce miał już nie tylko Dumbledore'a i Morganę, ale i Hengista z Woodcroft, Alberyka Grunnion, Kirke, Paracelsusa i Merlina. W końcu oderwał oczy od druidki Kliodyny, która drapała się po nosie, i otworzył torebkę Fasolek Wszystkich Smaków Bertiego Bottsa.

— Musisz uważać — ostrzegł go Ron. — Jak piszą „wszystkich smaków”, to naprawdę mają to na myśli... No wiesz, możesz trafić na zwykłe smaki, czekoladowy, marmoladkowy lub miętowy, ale możesz też trafić na szpinakowy, wątrobiany i flaczkowy. George przysięga, że kiedyś natrafił na goblinowy.

Wybrał zieloną fasolkę, obejrzał ją uważnie i cisnął w kąt.

— Ueeee... Kielkowa!

Zabawiali się przez jakiś czas, próbując różnych smaków. Harry natrafił na grzankowy, kokosowy, fasolowy, truskawkowy, curry, trawiasty, kawowy, sardynkowy i był na tyle odważny, że odgryzł koniuszek szarej fasolki, której Ron nie chciał tknąć. Okazało się, że był to smak pieprzowy.

Za oknem robiło się coraz bardziej dziko. Znikły schludne pola i pastwiska. Teraz migały im przed oczami lasy, kręte rzeki i ciemnozielone wzgórza.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł ów pyzaty chłopiec, którego Harry minął na peronie dziewięć i trzy czwarte. Minę miał raczej żalospną.

— Przepraszam — powiedział — ale czy nie widzieliście ropuchy?

Kiedy potrząsnęli głowami, zaczął lamentować:

— Zgubiłem ją! Wciąż ode mnie ucieka!

— Znajdzie się — pocieszył go Harry.

— Mam nadzieję — westchnął chłopiec i wyszedł.

— Nie rozumiem, dlaczego on tak rozpacza — po-

wiedział Ron. — Gdybym miał ropuchę, zgubiłbym ją jak najszybciej. No, ale ja mam Parszywka, więc nic nie mówię.

Szczur spał sobie w najlepsze na kolanach Rona.

— Mógłby zdechnąć i wcale bym nie zauważył. Wczoraj próbowałem zmienić mu sierść z szarej na żółtą, żeby miał ciekawszy wygląd, ale zaklęcie nie podziałało. Pokażę ci, zobacz...

Pogrzebał w swoim kufrze i wyciągnął bardzo wysłużoną różdżkę. W kilku miejscach była wyszczerbiona, a na końcu połyskiwało coś białego.

— Powypadała prawie cała sierść jednorożca. No, ale spróbujmy...

Właśnie podniósł różdżkę, kiedy drzwi do przedziału znowu się otworzyły. Wrócił chłopiec, któremu zginęła ropucha, ale tym razem w towarzystwie dziewczynki w nowej szacie Hogwartu.

— Czy ktoś nie widział ropuchy? Neville zgubił swoją — powiedziała. Miała nieco przemądrzały głos, mnóstwo gęstych, brązowych włosów i wielkie przednie zęby.

— Już mu mówiliśmy, że nie było tu żadnej ropuchy — oświadczył Ron, ale dziewczyna nie słuchała, wpatrując się w jego różdżkę.

— Och, robisz czary? No to popatrzymy.

Usiadła. Ron sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego.

— Ee... No dobra.

Odchrząknął.

*Słoneczko, masełko, stokrotki żółciutkie
Cyraneczko, żądętko, pieniążki złociutkie,
Zmieńcie szczura tego, głupiego, tłustego,
W szczura mądrego i całkiem żółtego!*

Machnął różdżką, ale nic się nie stało. Parszywek był nadal szary i nawet się nie obudził.

— Jesteś pewny, że to prawdziwe zaklęcie? — zapytała dziewczyna. — No, nawet jeśli tak, to chyba nie najlepsze, prawda? Próbowałam kilku prostych zaklęć, tak dla wprawy, i wszystkie podziałały. W mojej rodzinie nikt nie jest magiczny, byłam kompletnie zaskoczona, jak dostałam list, ale oczywiście okropnie się ucieszyłam, słyszałam, że to najlepsza szkoła dla czarownic... oczywiście nauczyłam się wszystkich podręczników na pamięć, chyba wystarczy, co? Aha, przy okazji, jestem Hermiona Granger, a wy?

Wszystko to powiedziała bardzo szybko.

Harry spojrzał na Rona i poczuł ulgę, kiedy po jego zdumionej twarzy poznał, że on też nie nauczył się wszystkich podręczników na pamięć.

— Jestem Ron Weasley — wymamrotał Ron.

— Harry Potter — powiedział Harry.

— Naprawdę? Oczywiście wiem o tobie wszystko... Mam parę dodatkowych książek, no wiecie, lektura uzupełniająca, i wiem, że jesteś w *Dziejach współczesnej magii*, w *Powstaniu i upadku Czarnej Magii* i w *Wielkich wydarzeniach czarodziejskich dwudziestego wieku*.

— Jestem? — zapytał Harry, kompletnie oszołomiony.

— Ojejku, nie wiedziałeś? Gdyby o mnie tak pisali, wszystko bym wynalazła — powiedziała Hermiona. — Wiecie już, w którym będziecie domu? Pytałam wszystkich i mam nadzieję, że będę w Gryffindorze, byłoby ekstra, co? Słyszałam, że był w nim sam Dumbledore, ale chyba Ravenclaw też nie jest taki zły... No dobra, ale musimy iść i szukać tej ropuchy. Chyba lepiej już się przebrać, wkrótce będziemy na miejscu.

I wyszła, zabierając ze sobą chłopca, któremu zginęła ropucha.

— Nie wiem, w którym będę domu, ale mam nadzieję, że nie w tym samym, co ona — powiedział Ron. Wrzucił różdżkę do kufra. — Głupie zaklęcie... George mi je dał, ale założę się, że dobrze wiedział, że to niewypał.

— W którym domu są twoi bracia? — zapytał Harry.

— W Gryffindorze. — Ron znowu zmarkotniał. — Mama i tata też tam byli. Nie wiem, co powiedzą, jak się tam nie dostanę. Ravenclaw też nie jest taki zły, ale Slytherin... daj spokój.

— To ten dom, w którym był Vol... znaczy Sam-Wiesz-Kto?

— Taak. — Ron opadł na oparcie fotela, wyraźnie przybity.

— Wiesz co, myślę, że końce wąsów Parszywka są trochę jaśniejsze — powiedział Harry, próbując zmienić temat. — Słuchaj, Ron, co teraz robią twoi starsi bracia?

Harry był ciekaw, co może robić czarodziej po ukończeniu szkoły.

— Charlie jest w Rumunii, studiuje smoki, a Bill w Afryce, pracuje tam dla Gringotta. Słyszałeś co się tam stało? Piszą o tym w „Proroku Codziennym”... no tak, ale chyba nie wpadł ci w ręce u Mugoli... Ktoś próbował obrabować jedną z najtajniejszych skrytek.

Harry wytrzeszczył oczy.

— Naprawdę? I co się z nim stało?

— Nic, właśnie dlatego to taka sensacja. Nie złapano go. Mój tata mówi, że musiał to być jakiś potężny czarno-księżnik, skoro udało mu się tam dostać, ale nic nie wziął i to jest takie dziwne. Oczywiście wszyscy się boją, że może za tym stać Sam-Wiesz-Kto.

Harry zamyślił się głęboko. Dostawał gęziej skórki za każdym razem, kiedy wspomiano Sam–Wiesz–Kogo. Przypuszczał, że to jeden ze skutków znalezienia się w magicznym świecie, ale czułby się o wiele lepiej, gdyby mógł wypowiedzieć słowo „Voldemort” bez dreszczu strachu.

— Której drużynie quidditcha kibicujesz? — zapytał Ron.

— Ee... nie znam żadnej — wyznał Harry.

— Co? — Rona wyraźnie zatkało. — Och, zobaczysz, to jest najwspanialsza gra na świecie!

I zaczął opowiadać Harry'emu o czterech piłkach, o pozycjach siedmiu graczy, o słynnych meczach, w których brał udział ze swoimi braćmi, i o miotle, którą chciałby mieć, gdyby miał pieniądze. Wprowadzał właśnie Harry'ego w najciekawsze momenty gry, kiedy drzwi przedziału otworzyły się ponownie, ale tym razem nie stanął w nich chłopiec bez ropuchy czy Hermiona Granger.

Weszło trzech chłopców, a jednego z nich Harry rozpoznał od razu: był to ów blady młodzieniec ze sklepu Madame Malkin. Teraz wpatrywał się w Harry'ego z o wiele większym zainteresowaniem niż to, które mu okazał na ulicy Pokątnej.

— To prawda? — zapytał. — W całym pociągu mówią, że w tym przedziale jest Harry Potter. Więc to ty, tak?

— Tak — odpowiedział Harry.

Przyglądał się dwóm pozostałym chłopcom. Obaj byli tęczy i mieli paskudne miny. Wyglądali na goryli bladego chłopca.

— Och, to jest Crabbe, a to Goyle — rzekł blady chłopiec lekceważącym tonem, zauważywszy spojrzenie Harry'ego. — A ja nazywam się Malfoy, Draco Malfoy.

Ron lekko zakasłał, co mogło być próbą zamaskowania śmiechu.

— Śmiesz cię moje imię, tak? W każdym razie ty nie musisz mi mówić, kim jesteś. Ojciec mi powiedział, że wszyscy Weasleyowie są rudzi, piegowaci i mają więcej dzieci niż ich na to stać.

Zwrócił się ponownie do Harry'ego.

— Wkrótce się przekonasz, Potter, że pewne rodziny czarodziejów są o wiele lepsze od innych. Nie warto przyjaźnić się z tymi gorszymi. Mogę ci w tym pomóc.

Wyciągnął do niego rękę, ale Harry jej nie uścisnął.

— Dzięki, ale chyba sam potrafisz ocenić, kto jest gorszy — powiedział chłodno.

Draco Malfoy nie spłonął rumieńcem, ale jego blade policzki lekko poróżowiały.

— Na twoim miejscu trochę bym uważał — wycedził. — Jak nie będziesz troszkę bardziej uprzejmy, może cię spotkać taki sam los jak twoich rodziców. Oni też nie wiedzieli, kto jest dobry, a kto zły. Zadajesz się z hotełami, jak Weasleyowie albo ten Hagrid, i możesz mieć kłopoty.

Harry i Ron wstali.

— Powtórz to — powiedział Ron, a twarz zrobiła mu się prawie tak czerwona jak włosy.

— Bo co, może nam dołożysz? — zakpił Malfoy.

— Jeśli zaraz nie wyjdziecie... — zaczął Harry, nie czując się zbyt pewnie, bo Crabbe i Goyle byli o wiele więksi od niego i Rona.

— Ale nam się wcale nie chce wychodzić, prawda, chłopaki? Zjedliśmy już wszystko, co mieliśmy, a wy, jak widzę, jeszcze coś macie.

Goyle sięgnął po Czekoladową Żabę, Ron rzucił się ku niemu, ale zanim zdążył go uderzyć, napastnik wrzasnął okropnie.

Z jego dłoni zwisał Parszywek, zatopiwszy mu zęby w knykciach. Crabbe i Malfoy cofnęli się gwałtownie, Goyle wymachiwał Parszywką, wyjąc z bólu, a kiedy w końcu szczur oderwał się i pacnął w okno, wszyscy trzej wypadli z przedziału. Być może myśleli, że między słodyczami czai się więcej szczurów, a może usłyszeli czyjeś kroki, bo w chwilę później weszła Hermiona Granger.

— Co tu się dzieje? — zapytała, patrząc na porozrzucone po podłodze słodycze i Rona podnoszącego Parszywkę za ogon.

— Chyba go załatwili — powiedział Ron do Harry'ego. Przyjrzał się uważnie szczerowi. — No nie... nie wierzę własnym oczom... on po prostu znowu zasnął.

I tak w rzeczywistości było.

— Spotkałeś już tego Malfoya?

Harry opowiedział mu o spotkaniu na ulicy Pokątnej.

— Słyszałem o jego rodzinie — powiedział ponuro Ron. — Jedni z pierwszych przeszli na naszą stronę, kiedy zniknął Sam–Wiesz–Kto. Powiedzieli, że rzucił na nich urok. Mój tata w to nie wierzy. Mówi, że ojciec Malfoya wcale nie musi się tłumaczyć z tego, że znalazł się po Ciemnej Stronie. Wiesz, swój do swego. — Nagle zwrócił się do Hermiony. — Można ci w czymś pomóc?

— Lepiej się pospieszcie i załóżcie szaty, właśnie pytałam konduktora i powiedział mi, że już niedaleko. Biliście się, czy co? Oj, będziecie mieć kłopoty, zanim tam się znajdziemy!

— To Parszywek się bił, nie my — odrzekł Ron, spoglądając na nią spode łba. — Słuchaj, może byś wyszła, co? Chcemy się przebrać.

— No dobra, dobra... Przyszłam do was, bo wszyscy zachowują się strasznie dziecinnie, biegają tam i z powrotem

po korytarzu — powiedziała Hermiona obrażonym tonem. — Wiesz, że masz coś na nosie?

Ron obdarzył ją morderczym spojrzeniem i Hermiona wyszła. Harry wyrzwał przez okno. Robiło się ciemno. Pod purpurowym niebem widać było dalekie góry i lasy. Pociąg wcale nie zwalniał.

Zdjęli kurtki i nałożyli swoje długie czarne szaty. Szata Rona była trochę za krótka, widać było spod niej adidas.

Przez korytarz przetoczył się głos:

— Za pięć minut będziemy w Hogwarcie. Proszę zostawić bagaże w pociągu, zostaną zabrane do szkoły osobno.

Harry poczuł ucisk w brzuchu, a Ron jakby trochę pobladł pod piegami. Napelnili kieszenie resztą słodczy i dołączyli do tłumu na korytarzu.

Pociąg właśnie zwalniał i w końcu się zatrzymał. Wszyscy pchali się do drzwi, a później wyskakiwali na wąski, ciemny peron. Harry wzdrygnął się; wieczór był mroźny. Potem nad głowami uczniów pojawiła się chybocząca lampa i usłyszał znajomy głos:

— Pirszoroczni! Pirszoroczni tutaj! No jak, Harry, w porządku?

Znad morza głów wystawała włochata twarz Hagrida.

— No, dalej, za mną... są jeszcze jacyś pirszoroczni? Patrzeć pod nogi! Pirszoroczni za mną!

Ślizgając się i potykając, ruszyli za Hagridem po czymś, co wyglądało na stromą, wąską ścieżkę. Po obu stronach było bardzo ciemno, więc Harry pomyślał, że idą przez jakiś gęsty las. Nikt wiele nie mówił. Neville, chłopiec, który zgubił ropuchę, kichnął raz lub dwa.

— Zaraz zobaczycie Hogwart! — krzyknął Hagrid przez ramię. — Zaraz za tym zakrętem.

Rozległo się głośnie: „Oooooch!”

Wąska ścieżka wyprowadziła ich nagle na skraj wielkiego, czarnego jeziora. Po drugiej stronie, osadzony na wysokiej górze, z rozjarzonymi oknami na tle gwieździstego nieba, wznosił się ogromny zamek z wieloma basztami i wieżyczkami.

— Po czterech do łodzi, ani jednego więcej! — zawołał Hagrid, wskazując na flotyllę łódeczek przy brzegu. Harry i Ron weszli do łódki razem z Neville'em i Hermioną.

— Wszyscy siedzą? — krzyknął Hagrid, ze swojej łódki. — No to... NAPRZÓD!

I cała flotylla łódek natychmiast pomknęła przez gładką jak zwierciadło taflę jeziora. Wszyscy zamilkli, gapiąc się na wielki zamek. Piętrzył się nad nimi coraz wyżej i wyżej, w miarę jak zbliżali się do urwiska, na którego szczycie był osadzony.

— Głowy w dół! — ryknął Hagrid, kiedy pierwsza łódź dotarła do skalnej ściany.

Wszyscy pochylili głowy, a łódki przepłynęły pod kurtyną bluszczu, która zasłaniała szeroki otwór w skale. Teraz popłynęli ciemnym tunelem, wiodącym najwyraźniej pod zamek, aż dotarli do czegoś w rodzaju podziemnej przystani, gdzie powychodzili z łódek na skaliste, pokryte otoczakami nadbrzeże.

— Hej, ty tam! Czy to twoja ropucha? — zapytał Hagrid, który sprawdzał łodzie, kiedy wszyscy z nich wysiedli.

— Teodora! — krzyknął uradowany Neville, wyciągając ręce.

Potem ruszyli w górę wydrążonym w skale korytarzem, idąc prawie po omacku za lampą Hagrida, aż w końcu wyszli na gładką, wilgotną murawę w cieniu zamku.

Wspięli się po kamiennych stopniach i stłoczyli wokół olbrzymiej dębowej bramy.

— Wszyscy są? Ty tam, masz swoją ropuchę?

Hagrid uniósł swoją wielką pięść i trzykrotnie uderzył nią w bramę zamku.